

**Andrzej Domagalski**

Kraków

## Niepowtarzalne lata siedemdziesiąte

### TOMASZ BORKOWY

Tomek Borkowy, mieszkający w Edynburgu, wspomina lata 70. Ówczesna krakowska PWST, SCK UJ „Rotunda”, Akademickie Konfrontacje Twórcze w Szczawnicy, a potem Centrum Kultury Młodzieży i Studentów „Fama” na osiedlu Willowym w Nowej Hucie, legły u podstaw późniejszego jego sukcesu aktorskiego. W latach 80. cała Polska z zapartym tchem śledziła w telewizji serial *Dom* w reżyserii Jana Łomnickiego, w którym zagrał, zapadającą w pamięć, rolę Andrzeja Talara. Byliśmy, nie da się ukryć, dumni, iż jest to nasz serdeczny przyjaciel. Tomek z kolei zawsze podkreśla wielką rolę, jaką odegrała onegdajsza kultura studencka Krakowa w kształtowaniu jego drogi artystycznej. Borkowy w latach późniejszych, gwoli przypomnienia, przez ponad ćwierć wieku był współorganizatorem i współproducentem najstarszego i największego festiwalu sztuki na świecie – Edinburgh Festival Fringe. Mieszka od lat w stolicy Szkocji w Edynburgu. I z wielką sympatią wspomina Podwawelski Gród, w którym nabierał artystycznych szlifów.

To, że w 1972 roku znalazłem się w Krakowie, było szczęśliwym obrotem mojego lenistwa w ogólniaku. Zdawałem do warszawskiej PWST i po latach na planie *Domu* powiedział mi swoim ojcowskim głosem ówczesny rektor Tadeusz Łomnicki: „No kochany, nie zdałeś egzaminu teoretycznego”.

Jako pierwszy pod kreską złożyłem odwołanie do Ministerstwa Kultury i dostałem miejsce w krakowskiej PWST. Tej szkole i temu miastu zawdzięczam

nie tylko moją karierę, ale również to, że tu spotkałem wspaniałych ludzi, którzy pomogli ukształtować moje myślenie o sztuce i o świecie i z których wielu stało się przyjaciółmi na życie.

Studenckie życie lat siedemdziesiątych wibrowało w całej Polsce, ale wydawało się, że Kraków z jego studwudziestotysięczną populacją studentów był jego centrum. Mimo że ścierały się tu dwa polityczne światopoglądy i przemianowane Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP) stało się Socjalistycznym ZSP (SZSP), nie miało w 1973 roku większego znaczenia. Struktury zostały te same i niepokorna twórczość studencka kwitła nadal.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych dokonywała się jednak zmiana pokoleniowa w polskiej kulturze studenckiej. W Krakowie pojawiły się nowe idee i oczywiście nowi animatorzy życia studenckiego. Otwarcie klubu „Rotunda” w 1974 roku stworzyło jakby centrum animacji krakowskiej twórczości studenckiej. Oczywiście był jeszcze „Nowy Żaczek” i „Jaszczury” z Teatrem 38, także inne kluby, ale „Rotunda” stała się osią aktywności twórczej i to nie tylko dla Krakowa. Tu ostrzyli swoje kariery Jacek Kaczmarski, Grzegorz Turnau, Krzysztof Ścierański, Zbigniew Książek i wielu, wielu innych.

Studia w szkole teatralnej miały zupełnie inny rytm niż na innych uczelniach. Specyfika naszych studiów różniła się też od innych uczelni. 40 do 50 godzin tygodniowo obowiązkowych zajęć z wykładowcami i drugie tyle prób własnych lub z zespołem, nie pozwalały na szeroki udział w życiu studenckim. Podobnie było w szkole muzycznej. Aktorzy, reżyserzy i muzycy przygotowywali się do zawodowego życia w kulturze, a kontakty z wykładowcami były niemal personalne. PWST była najmniejszą z krakowskich uczelni. Oba wydziały, aktorski i reżyserii, skupiały jedynie około 100 studentów, a mimo to uczelnia miała około 60 wykładowców i asystentów. Naszymi nauczycielami byli znani aktorzy, reżyserzy i pisarze, a kontakty z nimi były często znacząco osobiste. Niektórzy wykładowcy, a w szczególności władze uczelni, dezaprobowały udział studentów szkoły teatralnej w jakichkolwiek zajęciach pozauczelnianych, a dokładnie w „amatorskich”, ich zdaniem, przedsięwzięciach studenckich.

Mimo że nawał akademickiej pracy i presja naszych mentorów była ogromna, staraliśmy się choć trochę brać udział w studenckim życiu Krakowa. Naturalnymi partnerami byli dla nas studenci Akademii Sztuk Pięknych i Akademii Muzycznej, z którą PWST dzieliło wtedy budynek na Starowiślniej. Spotykaliśmy się też na znieawidzonych przez wszystkich cotygodniowych zajęciach z przysposobienia obronnego. Również często, w sobotnie późne wieczory (i noce), spotykaliśmy się z nimi „na banię” w Jaszczurach.

Władze PWST umożliwiały nam tworzenie własnych spektakli w ramach „koła naukowego” i współpraca ze studentami innych szkół artystycznych była popierana. W ten sposób Ryszard Melliwa, Artur Tajber czy Adam Radzikowski stali się kolaborantami w moich pozauczelnianych próbach artystycznych.

Poza kontaktami ze studentami szkół artystycznych, głównym polem do popisu były dla nas Juwenalia i w tym obszarze tworzyły się kontakty z twórcami i animatorami kultury studenckiej. Ten kompletnie fantastycznie zwiariowany festiwal i jego równie szaleni organizatorzy, doprowadzili mnie do „Rotundy” i całej plejady sensownie zbzikowanych na punkcie kultury studenckiej indywidualności: Janusz Gast, Waldemar Janda, Ryszard Skrzypczak, Krzysztof Haich, Andrzej Domagalski, Stefan Bułka, Wacek Krupiński, Marek Stęborowski, Tadeusz Skoczek i oczywiście Andrzej „Wuj” Potok.

Chyba jednym z pierwszym studentów szkoły teatralnej, który swoją wspaiałą karierę zawodową wywiódł z krakowskiej kultury studenckiej, był Krzysztof Jasiński i jego Studencki Teatr Uwaga, znany dzisiaj jako STU. Byłem nim zachwycony i chyba już w połowie studiów wiedziałem, że chcę być „drugim” Jasińskim. Oczywiście lepszym! (wybacz Krzysztof).

Wszystko jednak zaczęło się na początku 1973 roku, kiedy to Anna Badora, koleżanka z trzeciego roku, zebrała grupę pięciu czy sześciu studentów pierwszego roku (ze mną włącznie) i zaczęła z nami pracę trochę innymi metodami niż te używane przez nauczycieli w PWST. Była to mieszanina systemów Meisnera, Uty Hagen, chicagowskim „Improv” i oczywiście Grotowskiego. Te nowe (i poza Grotowskim) zupełnie nieznanne w Polsce metody treningu aktorskiego, które Anka przywiozła z kilkumiesięcznej wizyty w eksperymentalnym teatrze w Holandii, były dla nas fascynującym otwarciem oczu na inną niż „klasyczna” formę pracy nad sobą i rolami. Ja osobiście zawdzięczam Badorze moje szerokie widzenie i rozumienie teatru, które utorowało mi drogę do kariery w Wielkiej Brytanii i największego na świecie festiwalu w Edynburgu, z którym spędziłem 27 wspaniałe twórczych lat.

Anka skończyła szkołę w 1975 roku i wyjechała na studia reżyserskie do Wiednia. W ciągu kilku lat stała się jedną najbardziej cenionych reżyserek i dyrektorów teatrów w krajach niemieckojęzycznych. Była pierwszą kobietą dyrektorem Düsseldorfer Schauspielhaus, jednego z największych teatrów w Niemczech, została kobietą roku w Austrii, a jej ostatnią placówką dyrektorską był Volkstheater w Wiedniu, którego całkowitą renowację dziewiętnastowiecznego budynku zaprojektowała i rozpoczęła przed odejściem w zeszłym roku na jakże zasłużoną emeryturę.

Po wyjeździe Badory z Krakowa postanowiłem stworzyć swoją własną grupę i pracować w oparciu o jej metody. W 1976 roku zebrałem studentów pierwszego i drugiego roku i w ramach „koła naukowego” prowadziliśmy nasze ćwiczenia aktorskie. Pracowaliśmy nad tekstem „Antygony” Jeana Anouilh’a, który napisał tę sztukę w czasie nazistowskiej okupacji i pod ścisłą faszystowską cenzurą we Francji. Przesłanie sztuki niejednoznacznie odnosi się do konfliktu między moralnym odrzuceniem władzy (Antygona) i jej filozoficzną akceptacją (Kreon). W połowie lat siedemdziesiątych ten problem stawał się naszym problemem, a w tej chwili jest nawet bardziej wyrazisty niż 45 lata temu.

Praca nad tą sztuką była niezmiernie trudna, głównie z powodu nawału pracy akademickiej w szkole teatralnej. Na nasze pozaakademickie próby zostawały godziny między 21 a 24 i w niedzielę. W obsadzie znaleźli się Edward Dargiewicz (Kreon), Dorota Kolak (Antygona), Ala Kubasiewicz (Ismena), Piotr Probosz (Haimon), Andrzej Dopierała i Krzysztof Pieczyński (strażnicy). Pamiętam jak po kilku miesiącach takiej nocnej pracy i na kilka dni przed premierą w szkolnym teatrze na Warszawskiej, próbowałem z Dorotą Kolak jej duży monolog. Próba szła znakomicie i Dorota był coraz lepsza. Chyba trochę przed północą poprosiłem zmęczoną „Kolaczkę”, żeby zrobiła jedną małą zmianę i zagrała cały monolog od początku. Dorota była fascynująca. Postać i jej argument wychodzący z głębokiego bólu stały się nie tylko całkowicie autentyczne, ale aktorstwo Doroty wspięło się na poziom, którego ja się nawet nie spodziewałem. Byłem rozdygotany i miałem łzy w oczach. „Kolaczka” skończył monolog, osunęła się na scenę i... zemdlą. Była zupełnie wykończona. Nie wiem czy to tekst Anouilh'a, czy moje pracoholiczne podejście do teatru, ale miałem podobne wypadki reżyserując w Londynie i w Korei. Jednak żadna z moich późniejszych Antygon nie dorównała Dorocie Kolak. Premiera okazała się sukcesem, a ja napisałem swoją pracę magisterską na temat „Antygony” Anouilh'a.

### WOJCIECH BELON (1952–1985)

Rok 1974 był znamienity w życiorysie 22-letniego wówczas artysty. Spełniały się bowiem jego młodzieńcze marzenia. Został ratownikiem-kandydatem Bieszczadzkiej Grupy GOPR, a ze swoją Wolną Grupą Bukowina otrzymał Nagrodę Specjalną na XI Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie. Koncert w „Rotundzie” był najważniejszym chyba wydarzeniem studenckiego festiwalu. Nikt wtedy nie przypuszczał, że lider grupy – Wojtek Belon – stanie się symbolem poetyckiej ballady. Stworzył zespół, który śpiewał jego opowieści o życiu – tak sam nazywał swoje pieśni. Grupa ta przeszła do historii, nie tylko studenckiej estrady, jako najwybitniejszy z wielu zespołów śpiewających poezję.

Nazwisko poety jest różnie pisane, a językowi puryści spierają się o właściwą formę. Spór wyjaśnia przyjaciel barda Adam Ziemianin:

To Wojtek wymyślił kiedyś Belona przez dwa „l”. Wypiwszy łyk absyntu, opowiadał, że jego przodek był Francuzem, a nazwisko pisane było przez dwa „l”. Do Polski przybył z Napoleonem, zakochał się w polskiej szlachiance i na stałe osiadł.

Autor, niżej podpisany, dobrze znający artystę z czasów chociażby „Rotundy”, łyku absyntu z Wojtkiem co prawda nie wychylił, bo popiliśmy inne trunki, lecz pozostał przy starej pisowni, w jakiej drukował mu chociażby afisze, informujące o jego występach. Wojciech Jerzy Belon urodził się w marcu 1952 roku w Kwidzynie, rodzinnym mieście jego matki. Rodzina Belonów mieszkała następnie krótko w Opolu Lubelskim, skąd pochodził ojciec, a potem do 1965 roku – w Skarżysku-Kamiennej. W tym też roku Belonowie zamieszkali w Busku-Zdroju. Ojciec, Jerzy, pracował w Buskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, a matka – Wanda, prawniczka – w Państwowym Biurze Notarialnym.

W ostatnim swoim wywiadzie, pod tytułem *Nigdy nie zdradzę majstra Biedy*, udzielonym Piotrowi Bakalowi w Zielonej Górze – na niepełną piątą tygodni przed śmiercią – artysta mówił:

Nie lubię etykiet (...) piosenka studencka, piosenka turystyczna. Nie bardzo rozumiem, co znaczą. Z własnego doświadczenia wiem, że śpiewając te same pieśni, raz byłem piosenkarzem turystycznym, raz studenckim, raz artystą uprawiającym piosenkę literacką, poezję śpiewaną, wreszcie folk, aż do akustycznego rocka.

Swoje artystyczne początki zaś tak wspominał:

Było nas kilku w szkole, graliśmy na gitarkach. Oczywiście graliśmy rocka, bo to były jeszcze lata sześćdziesiąte, ale robiliśmy jednocześnie rzeczy folkowe. Idolem był dla mnie Dylan, choć jednocześnie fascynowali mnie Rolling Stones. Ale, jeżeli pod coś się podpinam, to pod Dylana. No i wtedy to się zaczęło...

Nim powstała słynna grupa muzyczna, w szkole średniej w Busku-Zdroju młody licealista Wojtek założył kabaret, którego pierwszy i chyba ostatni program nazywał się *Odkrycie i opisanie Bukowiny*. I tak zaczęła się Wolna Grupa Bukowina. Po raz pierwszy publicznie wystąpił w Busku-Zdroju, żeby było śmieszniej, na eliminacjach do Festiwalu Piosenki Patriotycznej:

Prowadziłem tam konferansjerkę, jeszcze jako uczeń liceum, w garniturku... Oprócz tego wykonywałem swoje protest songi. „Te bomby lecą na nasz dom” – tego typu. Natomiast „Bukowina” narodziła się troszkę później. Była to grupa zupełnie wolna... W tym czasie byli tam ludzie, którzy po prostu wędrowali ze mną Sudetami od Kotliny Kłodzkiej po Świeradów. Wyładowaliśmy w Szklarskiej Porębie i tam na Giełdzie Piosenki Turystycznej

zadebiutowaliśmy odnosząc niesłychany, jak na nas, sukces. Zdobyliśmy piosenką „Ponidzie” jedną z głównych równorzędnych nagród. Był to rok 1971. Ja byłem wtedy najstarszy, świeżo po maturze. Reszta to gimnazjaliści. „Bukowina” była wtedy swego rodzaju hasłem wywoławczym dla określonej grupy ludzi, którzy się w pewnym momencie skrzykiwali i razem śpiewali.

Z marzeń o staniu się pełną gębą ratownikiem górskim przyszło mu zrezygnować, pochłonęło go intensywne życie i artystyczna twórczość. Zrezygnował ze studiów na UJ na filozofii, poświęcił się bezpowrotnie piosence i wędrownym przez życie, mając się przy okazji różnych zajęć, żeby tylko wspomnieć chociażby roznoszenie mleka po krakowskich mieszkaniach.

Wojtek Belon zaczął przyjeżdżać w Bieszczady, jak wzmiankuje Andrzej Potocki w książce *Majster Bieda*, w wieku 17 lat:

Zaczeplił się u Pińczuka w schronisku na Wetlińskiej. Był jednym z wielu ówczesnych domokrażców (...) kiedy zaczynał odczuwać głód, czekał na grupę turystów, którzy przychodzili z własnym wiktem, i dosiadł się do nich z gitarą. Częstoowali go czymś bogatym, wydatnie uszczuplając swoje zapasy noszone w plecakach.

Wziął udział w ośmiu wyprawach ratunkowych, ale ratownikiem jednakże nie został. Wojtek nie był zbyt obowiązkowy. Wychodził nagle, bez wieści, dokąd idzie i kiedy wróci – nie wiadomo. Imprezy z Belonem były przednie, w pełni kulturalne:

Kilka razy Belon z Kaśką i Zembatym zaszli na bimber do Strzebowisk, do brata Ryśka Szocińskiego. Recytowali wiersze, śpiewali piosenki, jak to młodzieńcy na początku swojej artystycznej drogi. Było uroczym i bimber nikomu nie zawrócił w głowie. Obsadzano go na dyżurach w Ustrzykach Górnych, gdzie nudził się setnie. Jednego dnia zwyczajnie narozrabiał.

W 1976 roku przeniósł się do Grupy Podhalańskiej GOPR i zamienił Wetlińską na Turbacz w Gorcach i Luboń w Beskidzie Wyspowym. W schronisku na Luboniu odbyło się jego wesele z Joanną Kornagą (Jasną lub Jasnowłosą), pochodzącą ze Szczawnicy.

Z Władysławem Nadoptą, pierwowzorem „Majstra Biedy” – wolnym człowiekiem, wędrownym z Bieszczad, autor wiele razy gawędził przy ognisku. Przeżył on autora legendarnej piosenki o 20 lat; z początku był oburzony, że Belon zrobił zeń takiego nędzarza, biedaka. Później jednakże poczuł dotknięcie sławy – dzięki tej piosence stał się nieśmiertelny, a pod koniec życia rozdawał już autografy. Podobno nawet wyrobił

sobie pieczętkę „Majster Bieda” i nią opatrywał autografy rozdawane turystom. Ludzie zapraszali go do ogniska, częstowali wódką, bo jak nie wypić z chodzącą legendą, z kimś kto „(...) nad rowem siadał, wyciągał chleb./przekładał serem i dzielił się z psem”. I który trafił później do skarbnicy polskiej piosenki, nie tylko turystycznej. *Majster Bieda* to ulubiony tekst Wojciecha Belona, a na pewno jeden z najbardziej znanych.

Jan Poprawa pisał w książce w 1984 roku *Zaśpiewać na barykadzie młodości*:

Wielkim Mistrzem zakonu śpiewających turystów był Jerzy Harasymowicz. To jego stylizacje łemkowskie, jego bukoliki dawały wzór do naśladowania zarówno młodemu Bellonowi (...). Tekstem bodaj przełomowym w piosenkarzkiej twórczości Bellona był „Bar na Stawach”. To było rodzajem pożegnania ze szlakami Mistrza Harasymowicza: (...) co tu zostało z wierszy mistrza/zimnem powiało od drzwi nie domkniętych/i wyszliśmy z Hnatowiczem/gdzie in-dziej szukać poezji.

Jego przyjaciel Grzegorz Bukała opowiada:

Wojtek Belon – jak to on sam zwykł był mówić: „podróbki nie teges” (w języku medycyny – niewydolność organów wewnętrznych), zmarł w wieku 33 lat. Śmierć równie zaskakująca, co – przy jego trybie i filozofii bycia, niestety nieunikniona. Kolejna tragiczna postać z listy samospalających się w ogniu nieokielzanej wewnętrznej energii, charyzmatycznych artystów. Wielu ich było, zbyt wielu. Żal. Nie był on może wybitnym wokalistą, gitarzysta też był z niego raczej z tych lekkopółśrednich, nie uświadczysz jego nazwiska w almanachach wybitnych polskich poetów. Cóż więc sprawia, że wciąż fascynuje i „w krąg ciepła jak w kożuch wtuleni” poddajemy się magii jego słów i dźwięków? Gdy zakończył, a przynajmniej wydawało mu się, że zakończył żywot Bukowiny, wraz z kilkoma muzykami WGB zgłosił chęć połączenia sił z Wałami Jagiellońskimi. Nawet się długo nad tą propozycją nie zastanawialiśmy i od marca 1982 roku, reprezentując „klubowe barwy” krakowskiego oddziału PSJ, pojawiliśmy się na polskiej estradzie jako „Grupa Adres: Bukowina, Wały Jagiellońskie 2”. Ależ to była karkołomna figura! Nie dość, że stan wojny do minimum ograniczył możliwości koncertowania, że nagle zamiast 6, trzeba było sprzedać jednorazowo 12 przewijających się przez scenę facetów, to jeszcze szyld, który nikomu nic nie mówił. Nic więc dziwnego, że katastrofa zawisła w powietrzu, a widmo głodu zajrzało nam w oczy. I nawet pozyskanie na menago kapeli Adasia Galasa, nie pomogło. Nie było więc wyboru, wróciliśmy do starej nazwy, tyle że w programie obok „Warsa”, „Ciebie brak” i „Kukuły Disco” pojawił się „Majster Bieda”, a Wojtek wraz z Andrzejem Poniedziałkim (!) stali się

Wałową Sekcją Balladową. I – o dziwo, to się zaczęło niezłe sprzedawać. Grywaliśmy ponad 30 sztuk w miesiącu!

Niestety, intensywna praca pociągała za sobą potrzebę równie intensywnej biologicznej odnowy. Każdego wieczoru, po ostatnim koncercie, zbieraliśmy się w hotelowych pokojach, aby podsumować artystyczne wzloty i upadki mijającego dnia i wylizać rany. A że było co i przy czym sumować, relaksacja kończyła się późno w noc, a kolejny dzień rozpoczynał tradycyjnym, z pomocą piwka, cieniowaniem. Zresztą skład personalny ekipy, pod względem chęci i możliwości spożycia, mieliśmy wyjątkowo mocny (wg dzisiejszych kryteriów mocy, coś jakby FC Barcelona i Real Madryt razem wzięte). Przyszłość nie rysowała się więc zbyt różowo. A prym w tym segmencie naszego artystycznego bytowania wodził nie kto inny, tylko zwany Mistrzem – Wojtek. Miał on bowiem wyjątkową łatwość wchodzenia w interakcje z każdym nowo zapoznanym osobnikiem, niezależnie od jego płci, wieku i wykształcenia. Potrafił słuchać, był niezrównanym gawędziarzem i łowcą dusz zapoznanych na szlaku wędrowców. Nic więc dziwnego, że miał setki, jeśli nie tysiące – jak sam zwykł był ich określać – koleżków, a zagorzałych fanów ho-ho-hoo, albo i więcej. I – choć zdaje się to być niemożliwością, większość tych ludzi znał z imienia, nazwiska, adresu i uprawianej profesji. Chłonał też i przeżywał ich życiowe radości i kłopoty, w jakiejś części stawał się nimi, a oni pozostawali z nim na zawsze, pojawiając się potem nagle jako główni bohaterowie pieśni. O Majstrze Biedzie, Czešku Piekarczy, czy Hnatowiczu Janie. I ja tam byłem, miód i resztkę piłem, a jakże. Jednak będąc pod ciągłym wpływem (nawet słów, składni i specyficznej intonacji Mistrza zacząłem na co dzień używać), nie mogłem się pogodzić z autodestrukcją, jaką z pełną świadomością czynił. Fraza: „Jakże blisko zostało mi do kresu tej podróży, przyspieszam więc Ikara lot, by cię wzruszyć” mnie nie tylko poruszała, ale przede wszystkim – wkurwiała! Zresztą wszyscy, którzy z nim wówczas przebywaliśmy mieliśmy świadomość zbliżającego się nieubłagania końca. I niczegośmy z tą wiedzą nie zrobili. Nasza wina, nasza wina... moja bardzo wielka wina.

W artykule w „Dzienniku Polskim” znany poeta, przyjaciel artysty Adam Ziemianin, określił go mianem Wiecznego Wędrowca Bożego:

(...) jego pieśni, mimo iż rzadko prezentowano je w radiu czy telewizji, znane są szeroko i śpiewa je wielu ludzi. Ci najmłodszy wykonawcy Wojtkowych opowieści często już nawet nie bardzo wiedzą, kto je napisał, zresztą nie tylko ci najmłodszy, bo wiele z tych pieśni zadomowiło się na zawsze, a śpiewający je nie zastanawiają się, kto je stworzył. Ot, były zawsze. Jak zawsze był wiatr, deszcz czy góry. I to jest największy sukces artysty, kiedy jego twórczość staje się własnością wspólną, wręcz anonimową. Ma ona znacznie więcej odbiorców niż harcerze i turyści. Trafia do ludzi wrażliwych. Jego piosenki są na tyle uni-



wersalne, że bronią się same. Festiwal jego imienia organizowany w Busku-Zdroju jest na to jednym z dowodów. Jego miłośników przybywa też wśród młodych ludzi.

Liryczny satyryk Andrzej Pacuła charakteryzuje go na łamach rocznika „Piosenka” nr 3 z 2015 roku:

Bellon [pisownia autora – AD], sam nieustrudzony podróżnik, poeta w drodze, stroniący od rzęsiście oświetlonych, mieszczańskich salonów i pluszowych kanap, spotykał tych Wędrowców na miejskich i beskidzkich szlakach, w piwnicach artystycznych i w barach mlecznych, na autostopie i w pekaesie, w przydrożnych knajpach i na stacyjkach kolejowych, z których ledwie jeden pociąg odjeżdżał. Znał setki ludzi i pamiętał ich historie.

Wojtek Belon zmarł w krakowskiej klinice przy ulicy Kopernika. Miał 33 lata. Wielu jego wyznawców uważa to za symbol. Na forach internauci spierają się o przyczyny jego śmierci, powstają nowe teorie. Jedni piszą, że chorował na płuca lub nerki, inni – że zabił go alkohol. W wywiadzie z 2005 roku, przeprowadzonym przez Bogusława Sobczuka, Jan Hnatowicz, wieloletni członek zespołu Wolna Grupa Bukowina i bliski przyjaciel poety, tłumaczył reporterowi „Gazety Wyborczej” w 2015 roku:

Zabiła Go polska służba zdrowia – w ówczesnym stanie jej nędzy, bylejałości i skandalicznie podłego stosunku do człowieka. Chcę być dobrze zrozumiany: nie oskarżam nikogo konkretnego, występuję tylko przeciw ówczesnym standardom, które pozwalały człowieka przywiezionego – nie do pierwszej lepszej izby wytrzeźwień, a – jakby nie było – do Szpitala Psychiatrycznego w Kobierzynie – nie zbadać przez wiele dni, ładując w niego jedynie środki uspokajające, żeby „nie rozrabiał”. A on potrzebował diagnozy i ratunku, wcale nie związanego głównie z faktem, że przybył do szpitala nietrzeźwy, a z tym, że stan jego organizmu był bardzo kiepski. Gdy, dzięki koleżeńskiej interwencji, Wojtka przewieziono wreszcie do kliniki na Kopernika, nie pomogli ani kompetentni lekarze, ani aparatura do dializy niezbędna o wiele dni wcześniej – tych dni zmarnowanych w Kobierzynie. Byłem w tej okropnej chwili, gdy lekarz powiedział: „Niestety, za późno”. Do dzisiaj nie mogę mówić o tym bez wzburzenia. Straszna szkoda, bo dzisiaj by był.

## Majster Bieda

Skąd przychodził kto go znał  
kto mu rękę podał kiedy  
nad rowem siadał wyjmował chleb  
serem przekładał i dzielił się z psem  
tyle wszystkiego co sobą miał;  
Majster Bieda.

Czapkę z głowy ściągał gdy  
wiatr gałęzie chylił drzewom  
śmiał się do słońca i śpiewał do gwiazd  
drogą bez końca co przed nim szła  
znał jak pięć palców jak szeląg zły;  
Majster Bieda.

Nikt nie pytał skąd się wziął  
gdy do ognia się przysiadał  
wtulał się w krąg ciepła jak w kożuch  
zmęczony drogą wędrowiec boży  
zasypiał długo gapiąc się w noc;  
Majster Bieda.

Aż nastąpił taki rok  
smutny rok tak widać trzeba  
nie przyszedł Bieda zieloną wiosną  
miejsce gdzie siadał zielskiem zarosło  
i choć niejeden wyteżał wzrok  
choć lato pustym gościńcem przeszło  
z rudymi liśćmi jesienną schedą  
wiatrem niesiony popłynął w przeszłość  
wiatrem niesiony popłynął w przeszłość  
wiatrem niesiony popłynął w przeszłość;  
Majster Bieda.

## JAN WOŁEK

Urodził się w stolicy w czerwcową niedzielę 1954 roku, kiedy słońce znajdowało się jeszcze w zodiakalnym gwiazdozbiornie Bliźniąt. Kto mógł wówczas pomyśleć, iż na świat przychodzi człowiek renesansu, artystyczny multitalent. Pieśniarz, autor niezwykle tekstów, kompozytor, poeta i pisarz, niepospolity malarz i rysownik. Kiedyś był także bardem. Występy estradowe, co prawda, już dawno porzucił, ale za to teraz zasiada w kapitułach przeróżnych festiwali i konkursów.

Wszystko, co najpoważniejsze, zaczęło się od estetyki na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. W środowisku studenckim osiągnął popularność idola i rangę mistrza. Wcześniej, jako licealista animował i prowadził warszawski kabarecik Wół i zespół muzyczny z Jackiem Skubikowskim nazwany oryginalnie „Undzia Kizia Mizia Fruzia Boom Poloncia Luz Band Namber Tu, czyli Strasznie Czerstwy Chórek Kowbojskich Dwururek, czyli Grupa im. F. Dzierżyńskiego”.

Później przez dłuższy czas udzielał się w klubie „Stodoła” jako śmieszny wykonawca parajazzowych utworów. Te dwa miejsca startu estradowego Wołka – kabaret i klub jazzowy – w pewien sposób wpłynęły na kształtowanie się jego artystycznej sylwetki. Studencki ruch kulturalny lat 70., obowiązkowo gitara, broda i kraciasta koszula, i jego bardowskie piosenki, dzięki którym stał się znany jako artysta estradowy.

### Opowiada Jan Wołek:

Ekkehard Maas był (jest) śpiewającym poetą, tłumaczem i dysydem z NRD – słowem niemiecki człowiek renesansu. Odwiedzał mnie w Polsce, przejeżdżając przez granicę podczepiony pod wagonami kolejowymi w sobie tylko znany sposób, bo nie wolno mu było opuszczać demokratycznej ojczyzny. Ekke miał ideę, żeby nagrać wspólną płytę kilku poetów śpiewających z kilku „demoludów” (dla niewtajemniczonych – krajów demokracji ludowej). Miał już zblatowanego siebie i mnie, brakowało mu jeszcze kilku, w tym Wysockiego. Do Moskwy pod pociągiem dojechać nie mógł (bo tam są szersze tory i zmieniają osie), a szczególnie zależało mu na Wołodii. To odpowiedzialne zadanie postanowił zlecić mnie. Udałem się do kolegi odpowiedzialnego za turystykę w organizacji studenckiej. To proste, musisz pojechać do Moskwy na Olimpiadę. Jako kto? Jako kibic. A tam już sobie możesz kibicować Wysockiemu. Tak oto pojechałem blatować Wysockiego, który, jak się okazało na miejscu, od trzech dni nie żyje, o czym narodu nie poinformowano, by go nie zasmucać i nie psuć mu radosnej atmosfery panującej na olimpiadzie armii

zaprzyjaźnionych. A pociąg powrotny za tydzień (jak pamiętam), więc trzeba było oglądać, jak Kozakiewicz pokazuje im „wał”. „Nadejdzie jednak dzień zapłaty” – głosi znany przebój i tak oto któregoś dnia działacze studenci zakomunikowali mi, że dobrze by było, bym wziął udział w międzynarodowym spotkaniu „poetów walczących” (w ramach olimpiady), ale że bym się nie martwił, bo spotkanie jest kameralne, no a poeci „walczący”, więc „w porzo”. Kameralne spotkanie miało się odbyć na stadionie na Łużnikach, ale że było kameralne, więc w hali bokserskiej (10 tysięcy ludzi) i skoro „walczący”, to występy na ringu. Odśpiewałem swoje, konsekwencje ponieśli koledzy i już mogłem spokojnie dalej oglądać zmagania poetów ze świata. Nawet nie wiedziałem, że tyłu ich walczy. Nasi to wiadomo. O telefon, o mieszkanie, o stypendium, o przydział na malucha itd. Ale inni?

Prawdziwym zjawiskiem był dla mnie przedstawiciel kraju, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Republika Południowej Sahary. Ponad dwa metry poety, w fioletowej koszuli nocnej, złotych łańcuchach (jak cumy okrętowe!) na szyi i przegubach, i czarny, jak noc listopadowa. Miał fonetycznie po rusku napisany wiersz, który nazywał się „Afrika – dojnaja karowa impierializma”. No i deklamował. Z tego rozpędu wydeklamował nawet datę powstania utworu, bo nie wiedział o co idzie. Potem był bankiet zakrapiany. Myślałem, że to już koniec zobowiązań za tego Wysockiego, ale nie. Koledzy zasugerowali delikatnie, że w ramach „zadzierzgania więzi” powinienem pogadać z Południową Saharą. Trochę się go bałem, ale zakropiłem więcej i poszedłem. Rozmowa była taka: Ja – Podobno jesteś najwybitniejszym poetą swojego kraju? On – No. Ja – Dużo książek wydałeś? On – (jakby zniecierpliwiony) – Żadnej. Ja – Nie rozumiem. On – (jeszcze bardziej zniecierpliwiony). W moim kraju prawie nikt nie umie czytać, to nie miałoby sensu. Ja – To w jaki sposób twoja twórczość dociera do publiczności? On – Większość moich rodaków ma gramofony. Nagrywam wiersze na płytach. Tu urwał mi się koncept na pytania i popadłem w kontrolowane zamyślenie, które przerwał „Sahara”. On – A ty co robisz? Ja – (idę na skrót; nie wytłumaczę mu, co to „poezja śpiewana”) – Jestem piosenkarzem. On – Dużo płyt nagrałeś? Ja – Żadnej. On – (z podejrzliwością) – Nie rozumiem. Ja – W moim kraju mało kto ma gramofon – to nie miałoby sensu. On – (na granicy miłości bliźniego) – To w jaki sposób docierasz do publiczności? Ja – (gotów do ucieczki) – Wydaję książki. Nie uderzył mnie wcale, tylko sobie poszedł. Działacze nie mieli nawet pretensji. Widzieli, że zrobiłem, co w mojej mocy.

Z kolei pierwszy występ Wołka dla zagranicznej publiczności wspomina popularny satyryk Krzysztof Piasecki:

Janka Wołka poznałem w latach 70. Należał do kategorii Bardów. Tych na najwyższym poziomie. Do Bardów należał również Wojtek Belon. W Świno-

ujściu lipcem odbywał się festiwal FAMA (Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej). Pod koniec tego miesięcznego festiwalu nikt już nie miał pieniędzy na przysłowiowe piwo. Dlatego jeśli pojawiał się ktoś proponujący występ poza festiwałem (np. dla wczasowiczów), biegło się jak na skrzydłach za dowolne pieniądze. Z taką właśnie propozycją pod koniec FAMy przeszedł do mnie Wojtek Belon. „Będzie Jasiu Wołek i ja, ale potrzebujemy też ciebie, bo napisali, że kabaret”. Pojechaliśmy do Międzyzdrojów. Pierwszy występ odbywał się w ramach tzw. „wczasów wagonowych”, czyli – co tu kryć – na stacji. Zapowiedziałem Janka. Siadł z gitarą i zaczął pieśń. W momencie kiedy zbliżał się do punktu finałowego pieśni, przez stację przetoczył się pociąg towarowy skutecznie zagłuszając Wołka – jego pieśń, moją zapowiedź Belona i początek pieśni Wojtka. Drugi występ odbywał się w „amfiteatrze” – była to dziura w ziemi oświetlona rtęciówką wypełniona jednak amfiteatralnie młodzieżą. Wołek bardzo się podobał, Wojtek bardzo się podobał, ja w ogóle. Kiedy Janek śpiewał, Wojtek wziął mnie na bok i powiedział, żebym się postarał, bo ma być kabaret, a publiczność nie reaguje na moje występy i mogą nam nie zapłacić. Stawałem na głowie i nic. Obaj śpiewający byli rześsiście oklaskiwani, ja w ogóle. Skończyliśmy. Publiczność, bijąc brawo, ruszyła w naszym kierunku. Rzucili się na nas, wiążąc nam na szyjach chusty i rozdając proporczyki. Węgierskie. Bo to Węgrzy byli.

Wspominał, na łamach periodyku „Piosenka” w maju 2007 roku, znany krytyk sztuki Jan Poprawa:

Śpiewał wówczas Janek Wołek nadzwyczajnie, inaczej niż wszyscy. Ochryplym głosem wykrzykiwał, wyszeptywał swe pieśni, swe zwierzenia intymne. Teksty Wołka były niebezpiecznie osobiste, przy nich zapominało się o jednym z paradoksów sztuki, w której dzieło niekoniecznie jest tożsame z osobą jego twórcy... Ale „Piosenka na wskroś optymistyczna” czy „Chłopcy od Breughla” – to przecież w ustach młodego poety był skowyt i manifest zarazem, to było zjawisko niebywałe (...). Wołek dawny – to był kosmos uczuć pojedynczego człowieka. Dzisiejszy jest niedościgłym mistrzem w zapisywaniu nie tylko własnego, po prostu ludzkiego cierpienia. Nikt z polskich autorów nie umie w podobnie niezwykle sposób wyrazić tej emocji i tego wzruszenia. (...) to Wołek jest poetą, wyrażającym językiem śpiewanej miniatury najprawdziwszą prawdę swych bohaterów, ludzi. Chyba tylko Jonasz Kofta w najpiękniejszych swych utworach latał równie wysoko.

Ten sam krytyk na łamach czasopisma „Razem” w 1977 roku pisał:

Podstawową siłą Jana Wołka są jego utwory. Piosenki? Ballady? Własnej roboty, zarówno w warstwie literackiej, jak i muzycznej. Wykonywane wyłącznie

osobiście. Wołek gra (bardzo przyzwoicie) na dwunastostrunowej gitarze, wykorzystując ją zarówno do akompaniamentu, jak i partii solowych. (...) Janek pisze wiersze – ballady – piosenki tylko dla śpiewania. (...) Choć słuchany po raz setny – zawsze wywołuje Wołek autentyczne, niemal fizyczne poczucie obcowania z czymś niepowtarzalnym.

Muzyka, poezja, malarstwo. W jego twórczości nie zabrakło miejsca na telewizyjne i radiowe nagrania, znajduje też czas na pisanie książek. W sztuce plastycznej odnalazł się wspaniale jako twórca rysunków satyrycznych, książkowych ilustracji, ale najbardziej kocha malarstwo sztalugowe, które od wielu lat dominuje u niego i prezentowane jest na wielu wystawach w kraju i na świecie, a które poznać można choćby w galerii Suszarnia w jego ukochanym Kazimierzu Dolnym. Jan Wołek urzeka setkami znakomitych tekstów do piosenek, śpiewanych przez gwiazdy polskiej estrady: Irenę Santor, Marylę Rodowicz, Grażynę Łobaszewską, Edytę Geppert, Hannę Banaszak, Zbigniewa Wodeckiego, Mirosława Czyżykiewicza i wielu innych. O czym pisał i nadal pisze? O życiu. O relacjach międzyludzkich, o tęsknotach, uczuciach rozmaitych, szczęściu i tragedii, międzyludzkiej chemii i miłości. Poetycko, estetycznie, lirycznie, romantycznie i prozaicznie, smutno i wesoło, tragicznie, zabawnie, na luzie i bardzo poważnie. Zawsze jednak magicznie. Niepowtarzalnie prawdziwie, mądrze, pięknie.

„Himilzbach powiedział mi kiedyś: – Wiesz co, Janek? – ja to cię kurwa naprawdę uważam, bo ty jesteś wariat, a tylko wariaci mają jeszcze jakiś pomysłuńek! To wyprostowało mnie na długo” – tłumaczy iście renesansowy artysta, który jest dwukrotnym zwycięzcą Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie (1975 i 1976), a także laureatem Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej FAMA (1977, „Największa indywidualność twórcza”). A jako malarz – autorem kilkudziesięciu wystaw indywidualnych. W 2000 roku został odznaczony „za wybitne zasługi w działalności w ruchu studenckim, za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej” Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Napisał m.in. książki *Moment z jednej całości*, *Cygaro dla potrzeb filmu*, *Na skutek niestrawności*, *Po*.

W 2021 roku Jan Wołek uhonorowany został prestiżową Nagrodą im. Andrzeja „Wuja” Potoka, gala nagrody miała miejsce 17 listopada w stołecznym Muzeum Niepodległości.